



DROGI DO NIEPODLEGŁOŚCI

PROF. WŁODZIMIERZ SULEJA

Wróg został pokonany dzięki planom kontestowanym przez francuskich i brytyjskich wojskowych, a przygotowanym przez „samouka” i „dyletanta”. Z ich punktu widzenia to, co wydarzyło się nad Wisłą, mogło być rzeczywiście poczytywane za cud.

OSTATNI SZANIEC EUROPY

W połowie sierpnia 1920 r. zdawać się mogło, że budująca swe zręby Rzeczpospolita nie przetrwa. Bolszewicka nawała dotarła pod Warszawę. Na północy, podążając śladami Paskiewicza, kawaleria Gaj-Chana próbowała sforsować Wisłę pod Płockiem. Na południu konnica Budionnego kierowała się na Lwów. W Berlinie z rosnącą nadzieją oczekiwano na załamanie się nieokrzepłego wersalskiego porządku. W stolicach ententy panowało przekonanie, że należy czym prędzej dogadać się z Moskwą – kosztem Polski. Z odsieczą gotowi byli spieszyć jedynie Węgrzy.

Bolszewicy wodzowie byli pewni sukcesu. Na Kremlu – Lenin i Trocki. Sterujący poczynaniami południowego frontu Stalin. Pod Warszawą Tuchaczewski, który po „trupie Polski” zamierzał nieść w głąb Europy rewolucyjną żagiew. Na plebanii w Wyszakowie Dzierżyński pospołu z Marchlewskim czekał gotowy do wprowadzania czerwonych porządków nad Wisłą.

I po jednej, i po drugiej stronie polsko-bolszewickiego frontu doskonale zdawano sobie przy tym sprawę, że to właśnie nad Wisłą rozpościera się ostatni szaniec strzegący dorobku zachodniej cywilizacji, ostatni szaniec Europy. To właśnie Wisła była tą zaporą, na której mogła się zatrzymać nieobliczalna w skutkach katastrofa. Bolszewicy zamierzali przenicować stary, wrogi im świat. Polski żołnierz stał zaś na straży trwającego od tysiącleci świata wartości. I, co ważniejsze, stał na straży Niepodległej.

Bolszewicy byli tylko najeźdźcą hordą. Za polskim żołnierzem stał naród zjednoczony w obliczu śmiertelnego zagrożenia. Rządem Obrony Narodowej kierował wszak chłop, Wincenty Witos, wsparty przez socjalistę Ignacego Daszyńskiego. Na front ruszył nieostrzelany ochotnik – gimnazjalista, student, lwowski batiar i chłopak z „ferajny” z Powiśla. Ten, który – jak pod Termopilami – poległ pod Żadwórzem. Ten, który nieustępliwie trwał pod Radzyminem i wielokrotnie szedł do kontraktaku pod Osso-
wem. I ginął...

Bolszewików prowadziła obląkańcza ideologia. Polski żołnierz miał oparcie w wierze przodków. Tych, którzy z „Bogurodzicą” na ustach gromili zakon,



16 sierpnia dowodzona przez **Józefa Piłsudskiego** grupa uderzeniowa przeprowadziła kontruderzenie znad Wieprza, przetamała front pod Kockiem i Cyncowem i zaatakowała tyły wojsk bolszewickich

bronili Jasnogórskiej Pani, stawali w chocimskiej i wiedeńskiej potrzebie. Wszak nie kto inny, jak nuncjusz apostolski Ambrogio Damiano Achille Ratti, czyli późniejszy papież Pius XI, nie zamierzał opuszczać zagrożonej stolicy. Z kościołów zaś, obok modlitw za Ojczyznę, z ust kapłanów płynęła zachęta, by stawać do szeregu. Co czynili i sami,

by, jak ksiądz Ignacy Skorupka, złożył w ofierze własne życie.

Zwycięstwo odniesione w Bitwie Warszawskiej nie było zatem przypadkiem. Nie było też cudem. Zdecydowało żołnierskie męstwo, umiejętna praca dowódcza i genialny plan Józefa Piłsudskiego, przekuty w zaczepny zwrot. To prawda, że pomocny okazał się również przypadek,

kiedy to kawaleryjska niesubordynacja zaowocowała rajdem na Ciechanów i zniszczeniem kluczowej dla komunikowania się wroga radiostacji. To prawda, że polski sztab wiedział znacznie więcej, niż spodziewał się nieprzyjaciel, dzięki pracy radiowywiadu. To prawda, że regularnym oddziałom skutecznie przychodzili z pomocą cywile, jak choćby kobiety spod Zambrowa, które motykami zdobyły bolszewicką baterię... Wroga należało jednak doszczętnie pobić. Nie dać się zepchnąć. Przeciwnie, nawet mniejszymi siłami, tak jak to było nad Wkrą – kontratakować. I wreszcie uderzyć tak skutecznie, by odwrót zamienić w klęskę.

Bolszewicy, choć w całym świecie nikt się tego nie spodziewał, zostali pobici. Dokonał tego żołnierz, który od wielu dni się cofał. Polski żołnierz, wedle raportów zachodnich attachés źle dowodzony, ponoć wręcz zdemoralizowany. Wróg został pokonany dzięki planom kontestowanym przez francuskich i brytyjskich wojskowych, a przygotowanym przez „samouka” i „dyletanta”. Z ich punktu widzenia to, co wydarzyło się nad Wisłą, mogło być rzeczywiście poczytywane za cud.

Polska armia nie poprzestała jednak na rozgromieniu wroga. Wciąż, pomimo klęski, groźnego, zdolnego do odtworzenia swego bojowego potencjału. Również z tego powodu, że oddziałom, które przekroczyły niemiecką granicę w Prusach, zamiast do obozów internowania pozwolono na powrót do swoich. Konieczny okazał się zatem jeden jeszcze olbrzymi wysiłek. To drugie, wrześnie, potężne uderzenie, połączone z forsowaniem litewskich rzek, przesądziło o definitywnym odparciu bolszewickiej fali. Przesądziło też o zawarciu pokoju, dla znacznej części polskiej opinii publicznej satysfakcjonującego, choć dalekiego od pełnego wykorzystania owoców militarnego zwycięstwa.

Białoczerwony sztandar, zatknięty na ostatnim szaniec wolnej Europy, mógł dumnie powiewać nad bezpiecznym już krajem. Niestety, zaledwie przez niespełna dwie dekady. Z polskiego punktu widzenia jednak wystarczające, by idee Niepodległej w sercach i umysłach Polaków zapisać na trwałe. ☺

DEBATA HISTORYKÓW ZAPROSZONYCH PRZEZ KANCELARIĘ PREZYDENTA RP ORAZ IPN

Wojna, której najznamienitszy epizod stanowiła Bitwa Warszawska, była rzeczywiście wojną o wolność Europy. Pozostaje tylko pytanie, czy wtedy, w 1920 r., miano na świecie świadomość tej stawki.

W OBRONIE CYWILIZACJI

Oznaczeniu wojny polsko-bolszewickiej dla cywilizacji europejskiej dyskutowali historycy z Polski, Litwy i Niemiec w trakcie debaty zorganizowanej przez Instytut Pamięci Narodowej i Kancelarię Prezydenta RP przy udziale Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku. Dyskusja pod hasłem „Bitwa Warszawska – wojna o wolność Europy” była czternastym spotkaniem z cyklu debat belwederskich, które zapoczątkowano z okazji obchodów stulecia niepodległości Polski.

Robert Supel, dyrektor Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku

To dla nas ogromny zaszczyt, że jako muzeum możemy gościć w naszych progach debatę, która normalnie odbywa się w dużej Kancelarii Prezydenta oraz Instytutu Pamięci Narodowej. Pierwotnie dzisiejsza debata miała się odbyć w marcu, ale stan epidemii nie pozwolił nam na jej zorganizowanie. Cieszymy się jednak, że jest to możliwe teraz, choć w nieco innym składzie. Wśród panelistów tamtej debaty miał się bowiem znaleźć prof. Janusz Cisek, który brał udział w pracach nad dokumentami z wojny polsko-bolszewickiej. Był także zaangażowany w budowanie słownika legionistów polskich, który dziś jest podstawą naszego portalu internetowego – Żołnierze Niepodległości. Dziś nie ma już z nami prof. Ciska, który odszedł bardzo przedwcześnie (zmarł 28 lutego – red.).

Prof. Andrzej Waško, doradca prezydenta RP

Od 2016 r. w Belwederze odbyło się już kilkanaście debat historycznych z okazji stulecia niepodległości Polski. Były to debaty, które w różnych aspektach analizowały całą epopeję odzyskania niepodległości przez Polskę w latach I wojny światowej aż po rok 1920, którego stulecie teraz obchodzimy. Dzisiejsza debata kończy pewien cykl, ale równocześnie pokazuje nam, że mamy do wykonania nową pracę. Jest to walka o to, żeby kultura polska i Polska przyszłości były budowane w oparciu o prawdziwą świadomość historyczną.

Dr Jarosław Szarek, prezes IPN

Tytuł dzisiejszej debaty nasuwa jednocześnie pytanie o to, czy Europa w 1920 r. o tę wolność walczyła obok nas. W Europie nie było w tamtym czasie manifestacji, nie krzyżowano: „ręce precz od Warszawy!”. Raczej robiono wszystko, aby zwyciężyła ta druga strona. Jakże byliśmy w tym czasie osamotnieni, a nierzadko upokorzeni. Choć nie zabrakło też tych, którzy w tym trudnym czasie byli z nami – i o nich musimy pamiętać – bo wiedzieli, że strzały do Polaków to są również strzały w serce europejskiej wolności i cywilizacji.

Prof. Włodzimierz Suleja, moderator

Nie ulega wątpliwości, że w lipcu 1920 r. właściwie w całej Europie spodziewano się pozytywnego finału dla bolszewików – pobicia Polski, upadku Warszawy i dalszych kroków. To, co działo się

w Spa, to była próba znalezienia modus vivendi, tymczasowego kompromisu i być może zatrzymania tego toczącego się od północy bolszewickiego walca, ale miało się to odbyć kosztem polskich interesów.

Jest kilka kwestii, o których warto wspomnieć. Dlaczego kontrofensywa na Ukrainie nie udała się Polsce? Stamtąd przyszła ofensywa na czele z Siemionem Budionnym, kiedy na północy toczyły się walki. Jak reagowały na to kraje bałtyckie? Jak zachowywały się Niemcy? Czy rzeczywiście czekały na Armię Czerwoną i czy realne były kroki, które zmierzały do odtworzenia sytuacji sprzed roku 1914, czyli ponownego podziału ziem polskich pomiędzy Rosję i Niemcy? Ten kontekst lipca 1920 r. był fatalny i miał też przełożenie na coś, co Piłsudski w 1920 r. nazwał frontem wewnętrznym. W opinii publicznej pojawiły się pytania o to, kto w tym niezwykle trudnym momencie powinien państwem kierować.

Wojna, której najznamienitszy epizod stanowiła Bitwa Warszawska, była rzeczywiście wojną o wolność Europy. Pozostaje tylko pytanie, czy wtedy, w 1920 r., miano świadomość tej stawki. Czy zdawano sobie sprawę zarówno w Polsce, Rosji, wśród bliskich i dalszych sąsiadów, o co toczy się gra? Co się wydarzy, jeśli rzeczywiście bolszewicy wygrają? Czy zdawano sobie sprawę z tej wojny cywilizacji, jaka miała mieć miejsce nad Wisłą?

To była wojna o byt Polski i warto przywołać tutaj kwestię armii ochotniczej: 100 tys. młodych ludzi, którzy mieli przeświadczenie, że trzeba walczyć. Ta determinacja przełożyła się potem np. na kontratak pod Ossowem i była istotnie czymś, co z racjonalnego punktu widzenia jest niewytłumaczalne, czymś, co umyka chłodnej analizie, a przecież w tym obszarze starcia cywilizacji również się mieści.

Prof. Janusz Odziemkowski: Wyścig piechura z kopytami

Na Ukrainie był bardzo rozległy front słabo obsadzony wojskiem. Jednostki rozlokowano tylko w większych miastach i na węzłach komunikacyjnych, natomiast z tyłu stały odwody, które miały zdążyć na to miejsce, gdzie przeciwnik zagrozi przełamaniem frontu. Mieliśmy tam bitne, bardzo dobre oddziały piechoty. Wojsko było niesione duchem zwycięskiej ofensywy, mieliśmy wyposażenie i zapasy na prowadzenie walki. Brakowało nam natomiast szybkich jednostek. Mieliśmy zaledwie jedną dywizję kawalerii. Przeciwnik wystawił armię konną Budionnego, użytą bardzo nowatorsko, która odgrywała mniej więcej taką rolę jak jednostki zmotoryzowane i pancerne w II wojnie światowej. To znaczy szukała luzu na froncie, słabsze obsady, tam się przebiła i działała na tyłach nieprzyjaciela.

Dwa razy udało się zatrzymać armię konną, a za trzecim razem Budionny przełamał linię frontu – trochę na skutek błędów polskiego dowództwa, ale przede wszystkim na skutek tego, że piechota nie może bez końca nadążać za kawalerią. Przełomowa dla tych kilku tygodni walk była myśl, która zaświtała wreszcie polskiemu dowództwu, że trzeba bolszewickiej armii konnej przeciwstawić wielkie zgrupowanie kawalerii polskiej.

To, co dała nam zwycięska wojna z bolszewikami, to rzecz zupełnie bezcenna, czyli 20 lat niepodległości. Gdyby nie było II Rzeczypospolitej i jej dorobku, do czego mielibyśmy się odwoływać? Nie byłoby tego nowego pokolenia wykształconego i wychowanego w II RP, które wzięło na siebie ciężar początków Polski Ludowej, i tego, że nie stoczyliśmy się w nurt głębokiej stalinizacji, tylko ocaliliśmy kolejne pokolenie, które stworzyło Solidarność.

Nasze zwycięstwo przyczyniło się także do tego, że dziś istnieją Litwa, Łotwa, Estonia. Te narody mogłyby zniknąć, gdyby Stalin położył na nich rękę w 1920 r.

Cóż to dla niego znaczyło trzy, cztery miliony Litwinów, których można rozproszyć, zrusyfikować, zlikwidować. Podobna liczba Łotyszy czy Estończyków nic nie znaczyła. Z 30 milionami Polaków też pewnie by sobie poradził.

Prof. Grzegorz Nowik: Zapomniana konferencja w Bulduri

Michał Tuchaczewski, aby odciążyć Ukrainę, rozpoczął tzw. pierwszą ofensywę, która zaledwie o trzy dni wyprzedziła planowaną przez Józefa Piłsudskiego akcję przedarcia się do linii Dniepru. Wyruszyła 14 maja, została właściwie po dwóch-trzech tygodniach powstrzymana i Rosjanie zostali odrzuceni na pozycje wyjściowe nad Dźwinę, Autę i Berezynę. Spodziewaliśmy się, że po ogromnych stratach, które wtedy ponieśli – rzędu kilkudziesięciu tysięcy ludzi – nie będą w stanie przez miesiąc czy dwa podjąć żadnej kontrofensywy. Polski sztab szacował, że Rosjanie podejmą następne działania zaczepne mniej więcej w drugiej połowie lipca. Tymczasem Tuchaczewski ze wsparciem Trockiego podjął nadzwyczajne środki nacisku na żołnierzy, w tym te słynne oddziały zaporowe, które rozstrzeliwały dezertorów i szły za pierwszymi liniami z karabinami maszynowymi.

Dla polskiego dowództwa to było zaskoczenie. Rosyjska kontrofensywa na decydującym kierunku miała dwu-, trzy-, a w niektórych miejscach nawet czterokrotną przewagę. Bolszewicka lawina działała po prostu swoją masą. Z czasem jej siła się wyczerpała. Pod Warszawę docierały nędzne resztki tych dywizji, które ruszyły znad Auty, Berezyny i Dźwiny. Wycieńczone, bez możliwości ewakuacji rannych, uzupełnień. Rosjanie zdobywali twierdzę w Łomży z szabłami w rękę, ponieważ nie mieli już amunicji. Łomża broniła się przez sześć dni, w przeciwieństwie do Brześcia, który utrzymał swoje pozycje tylko przez jeden dzień.

Równoległe z konferencją pokojową w Rydze toczyła się niedaleko druga konferencja, o której mało kto wie i niewielu historyków się nią zajmuje. Mówię o konferencji w Bulduri, gdzie toczyły się obrady między wszystkimi sąsiadami Rosji w celu zawarcia wspólnego sojuszu państw, które oderwały się od Rosji. W konferencji uczestniczą Finowie, Estończycy, Łotysze, są również Litwini, Polacy i Ukraińcy. Konferencja rozbiła się z powodu sprzeciwu Litwy na skutek buntu gen. Lucjana Żeligowskiego. Niemniej jednak wszyscy jej uczestnicy doskonale zdawali sobie sprawę, że jeżeli padłaby Warszawa, to następne byłyby Helsinki czy Ryga, a wszystkie państwa graniczące z bolszewikami przestałyby istnieć. To była realna perspektywa. Dokładnie zdawali sobie z tego sprawę również Węgrzy, nie zdawała sobie Rumunia. Czeski prezydent Tomáš Masaryk był gotowy oddać Ruś Zakarpacką, jak tylko bolszewicy zdobędą Lwów. W Niemczech były dwie alternatywne drogi: albo pójść z ententą przeciwko bolszewikom, albo z bolszewikami przeciwko entencie. W każdym wypadku z żądaniem rewizji traktatu wersalskiego, za co koszty poniosłaby Polska.

Wolfgang Templin: Szansa dla Republiki Weimarskiej

Niemiecka strona w całym tym konflikcie odegrała bardzo negatywną rolę. To prawda, że kontyngenty Reichswehry czekały, ale nie na to, żeby walczyć z bolszewikami, jeśli nie uda się ich po-



W Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku dyskutowali historycy (od lewej): moderator **prof. Włodzimierz Suleja** (IPN, Uniwersytet Wrocławski), **prof. Krzysztof Kawalec** (Uniwersytet Wrocławski), **prof. Marek Kornat** (Instytut Historii PAN), **Wolfgang Templin** (niemiecki historyk i publicysta), **prof. Alvydas Nikžentaitis** (Instytut Historii Litwy), **prof. Janusz Odziemkowski** (UKSW w Warszawie), **prof. Grzegorz Nowik** (Instytut Studiów Politycznych PAN)

konać Polakom. Czekają na to, żeby podzielić się z bolszewikami dopiero co odrodzoną, suwerenną Rzeczpospolitą.

Na przełomie listopada i grudnia 1918 r. pierwsza bolszewicka delegacja była już w Berlinie. Karol Radek oraz kilku innych komunistów niemieckich, radzieckich i polskich próbowało zwiększyć swoje wpływy w Niemczech. On miał niezwykle rozległe kontakty z całą niemiecką elitą – od liberałów po konserwatystów. Wszyscy oni mieli jeden cel: Polska, która powstała w 1918 r., nie może istnieć. Strona niemiecka chciała stworzyć nowy porządek antywersalski. Najlepszym sojusznikiem do wykonania takiego założenia byli wówczas bolszewicy.

Polacy wiedzieli, jaka jest natura bolszewizmu. W Niemczech też byli ludzie, którzy to szybko dostrzegli, ale były to indywidualne przypadki. Prezydent Friedrich Ebert jako demokrat wiedział, jaka jest to groźba. Polskie zwycięstwo dało Republice Weimarskiej ogromną szansę. Mieliśmy wówczas nadal demokrację, choć niestabilną. Mieliśmy siły kompromisu, ale także polityczne ekstremy. Ta wielka niemiecka szansa z lat 20. polegała na połączeniu sił republikańskich i demokratycznych. Niestety, nie skorzystaliśmy z niej.

Prof. Alvydas Nikžentaitis: Najstraszniejszy scenariusz dla Litwy

Dziś dla większości Litwinów jest jasne, że to była walka także o wolność Litwy. Ale jeżeli wrócimy do nastrojów, które towarzyszyły litewskim elitom politycznym w latach 1918–1920, to możemy powiedzieć, że patrzyły one na Polskę jak na wroga numer jeden. Wszędzie szukano sprzymierzeńców, bo najstraszniejszym scenariuszem dla Litwy miało być wznowienie unii polsko-litewskiej. Była też druga sprawa, która być może nieco wyjaśni, dlaczego Litwini nie byli po stronie Polski. W przededniu Bitwy Warszawskiej w lipcu 1920 r. Litwa zawarła układ z bolszewicką Rosją. Litwini chcieli zyskać uznanie Rosji, że Wilno będzie litewskie. W traktacie z bolszewicką Rosją były też tajne protokoły, na podstawie których Litwa przepuszczała wojsko bolszewickie do Polski. Nie wiadomo natomiast o innych istniejących już wtedy planach Rosji bolszewickiej, w których nie było miejsca dla Litwy.

W tym samym czasie, kiedy podpisano umowę litewsko-bolszewicką, na Litwę przybyło 600 tys. żołnierzy z Rosji, których podzielono na kilkunastoosobowe grupy dywersyjne rozlokowane w różnych miasteczkach. Plan był bardzo prosty: przedstawić zwycięstwo pod Warszawą jako początek rewolucji i „poprosić” Armię Czerwoną, która była już na miejscu, o pomoc w jej prowadzeniu. Plany te wyszły na jaw na przełomie

lat 1922 i 1923. Wtedy jeszcze nie mówiono o tym głośno, bo mieliśmy problem z Żeligowskim i Wilnem. Dlatego po raz pierwszy publicznie o tym, że Cud nad Wisłą uratował Litwę, powiedziano w 1934 r. w Kownie. Bitwa Warszawska do dzisiaj odgrywa bardzo istotną rolę w spojrzeniu Litwinów na Józefa Piłsudskiego. Jego zwycięstwo jest jednym z najważniejszych powodów, dla których nie jest już postacią jednoznacznie negatywną.

A czy możemy nazywać bitwę pod Warszawą wojną o wolność Europy? Jeśli przyjrzymy się temu, jak reagowały na to inne kraje sto lat temu, to takie określenie byłoby co najmniej dziwne. Nikt nie zrozumiał wtedy, czym jest bolszewizm, czym różni się od cywilizacji europejskiej. Od tego momentu mamy już przeszło cztery pokolenia. Mamy też inne, dodatkowe i bolesne doświadczenia. Polacy mają w pamięci Katyń, powstanie warszawskie, wszyscy mamy za sobą doświadczenia czasów komunizmu. I kiedy my teraz mówimy o Bitwie Warszawskiej, to nie możemy użyć innych określeń jak bitwa o naszą i waszą wolność, bitwa o cywilizację europejską.

Prof. Marek Kornat: Największa klęska polskiej dyplomacji

Latem 1920 r. stanęliśmy w obliczu alternatywy w przypadku przegranej Polski. Czekaliby nas albo nowy rozbiór, albo marsz Sowieców dalej na Zachód. Układ w Spa, podpisany 16 lipca, obiecywał realną pomoc militarną oczywiście za zgodą na linię Curzona, którą podpisał premier Władysław Grabski. Jednak te zobowiązania zaciągnięte przez rządy alianckie nie zostały dochowane. Powstaje więc pytanie o realną motywację rządów w Londynie i Paryżu. Oczywiście nie chcę się rozwodzić nad skutecznością sowieckiej ofensywy propagandowej na Zachodzie, o znaczących wpływach w kołach liberalnych i lewicowych, jakie miała strona sowiecka, ale trzeba pamiętać o funkcjonowaniu swoistego kanonu myślenia o Rosji w umysłach zachodnich elit politycznych. Chodziło o to, aby nie dopuścić do dalszej dezintegracji terytorialnej Rosji – tak aby kiedyś mogła powrócić tam biała, narodowa Rosja uwolniona od komunizmu. Zwłaszcza we Francji ten motyw myślenia był niezwykle silny.

Poza tym świadomość upadku Polski była wtedy dosyć wyraźna. Francuski premier powiedział nawet, że w Polsce panuje taki chaos, że nie wiadomo, czy Polska jeszcze istnieje. Wielka Brytania godziła się nawet na takie warunki stawiane przez bolszewików, aby armię polską zredukować do 50 tys. żołnierzy, a broń oddać w ręce chłopów i robotników, to było wydanie Polski de facto na sowietyzację. To jest wymowne.

Konferencja w Spa była prefiguracją Jalty. To była największa klęska polskiej dyplomacji, choć nie działa się to z naszej winy, bo co innego mogliśmy zrobić...

Prof. Krzysztof Kawalec: Cud zaciągu ochotniczego

Rzeczpospolita okresu wojny polsko-bolszewickiej była krajem pluralistycznym. Rywalizowały ze sobą partie o rozmaitych programach, forsując swój punkt widzenia, dopóki nie przypomnieli o sobie narastające zagrożenie zewnętrzne. Po zdobyciu przez wojska polskie Kijowa tym, co się z wielką siłą uzewnętrzniło, był wielki entuzjazm, który objął praktycznie całe polityczne spektrum.

Kiedy jednak nastąpił odwrót polskich wojsk, skończył się też entuzjazm i nasiliły się pytania o to, co należy zrobić z bolszewikami. Kluczem do zrozumienia sytuacji polskiego społeczeństwa są dwa elementy. Pierwszy był taki, że dla ludzi wojna nie zaczęła się wiosną 1919 r., tylko w gruncie rzeczy był to dalszy ciąg zmagania, które rozpoczęły się latem 1914 r. i które przyniosły ze sobą drastyczne obniżenie poziomu życia, obawy o najbliższych. Drugi istotny element to głód. Otóż głód sprzyja radykalizacji nastrojów. Trudno jest wyobrazić sobie, jak mogłoby funkcjonować polskie społeczeństwo i państwo, gdyby nie dostawy żywności amerykańskiej w 1919 r. Jeżeli oglądają państwo filmy dokumentalne z tamtego czasu, to proszę zwrócić uwagę na scenę w punkcie rekrutacyjnym, kiedy młodzi mężczyźni zgłaszają się do wojska. Kiedy się widzi tych przeraźliwie chudych ludzi, to można się dziwić, że komisje wojskowe wszystkich nie zdyskwalifikowały, bo podstawy medyczne do tego na pewno były. Zatem to, co nastąpiło po apelu Rady Obrony Państwa o zaciąg ochotniczy, czyli że w ciągu nieco ponad dwóch miesięcy zgłosiło się ok. 100 tys. ochotników, młodych ludzi, jawi się jako swego rodzaju cud.

Sądzę, że konsekwencje ewentualnej klęski w roku 1920 przekraczają możliwości naszej wyobraźni. To byłaby klęska cywilizacyjna i nieodwracalne przekreślenie historycznej ciągłości. To, że Polska się obroniła, zawdzięcza siłę swojego poczucia narodowego. Niewątpliwie cechą pozytywną naszego życia publicznego wówczas i czymś, co charakteryzowało naszą klasę polityczną, była umiejętność dostrzegania ponad sporam, nieraz bardzo zażartymi, wspólnego dobra, jakim był interes narodu i państwa. I to potrafiiono robić. Sens tej dziejowej próby sprowadzał się do tego, żeby można było w Polsce swobodnie dyskutować, zachować wolne instytucje i możliwości prowadzenia takiej debaty, w której ludzie mogliby się różnić. ©

–Debatę spisał i opracowała Katarzyna Płachta

MAREK KOZUBAL

Bolszewicka radiostacja w Ciechanowie została zdobyta nieco przypadkowo przez kaliskich ułanów, którzy szkolenie wojskowe przechodzili w zasadzie w drodze na front. Okazało się to jednak kluczowe dla losów wojny.

POLACY NADAJĄ BIBLIĘ

Pod koniec lipca 1920 r. sytuacja na froncie polsko-bolszewickim wydawała się katastrofalna. Wojsko Polskie cofało się pod naporem bolszewików. W czerwcu i lipcu 1920 roku na ziemiach polskich odbywał się powszechny pobór do wojska. Wcielano każdego zdolnego do walki. Jednocześnie samoistnie powstawały oddziały składające się z ochotników. Jednym z nich był 203. Ochotniczy Pułk Ułanów w Kaliszu.

Korpus oficerski tworzyli oficerowie różnych formacji: legionów, ułanów krechowickich, jazdy gen. Dowbora Muśnickiego i 3. pułku ułanów. Część podoficerów dopiero ukończyła szkoły, żołnierzami stali się zaś w większości uczniowie, inteligencja i ziemiaństwo z okolic Kalisza. Niemal połowa koni była prywatną własnością ochotników. Ułani złożyli przysięgę 2 sierpnia, a dwa dni później wyruszyli na front. Włączeni zostali w struktury 5. Armii generała Władysława Sikorskiego.

Ułani chodzą luzem

Twórcą i pierwszym dowódcą tej formacji został rotmistrz Adam Zakrzewski, herbu Bogoria. Po wojnie wspominał: „...odnosiło się wrażenie, że ma się 800 ułanów, 800 koni, tyleż siodeł, lecz wszystko to nie jest zgrane i luzem chodzi”. Szkolenie zatem kontynuowano w drodze. Karabiny, amunicję i lance żołnierze otrzymali dopiero na jednej ze stacji kolejowych w czasie postoju. Po wyładunku na północnym Mazowszu ruszyli do walki już pod dowództwem majora Zygmunta Podhorskiego. Niedoświadczeni żołnierze starli się z oddziałami 4. Armii i kozakami z Korpusu Kawalerii Gaja Dimitriewicza Gaja, byłego carskiego oficera, którego kawaleria była przez Polaków nazywana Złotą Ordą Gaj-chana. Walczyli zatem przeciwko Rosjanom między Wisłą a Wkrą. Ochotnicy szybko zdobywali doświadczenie bojowe, ale też ponosili dotkliwe straty. Po tygodniu w pułku zostało nieco ponad 300 ułanów.

4. Armia wraz z Kozakami szła na północ od Warszawy, na Płock i Toruń, aby zaatakować stolicę od północnego zachodu. Kaliski 203. Pułk Ułanów, wchodzący w skład 8. Brygady Jazdy gen. Karnickiego, miał osłaniać od północy działania 18. Dywizji Piechoty, której zadaniem było przecięcie linii komunikacyjnych i zaopatrzenia bolszewików. Mjr Podhorski po wysłaniu zwiadu konnego w okolicy Ciechanowa zorientował się, że w mieście nie ma poważniejszych sił przeciwnika, znajdują się tam natomiast tabory. Bez rozkazu zwierzchników postanowił w nocy z 14 na 15 sierpnia 1920 r. przeprowadzić zagon na miasto, znajdujące się wtedy za linią frontu. Planował

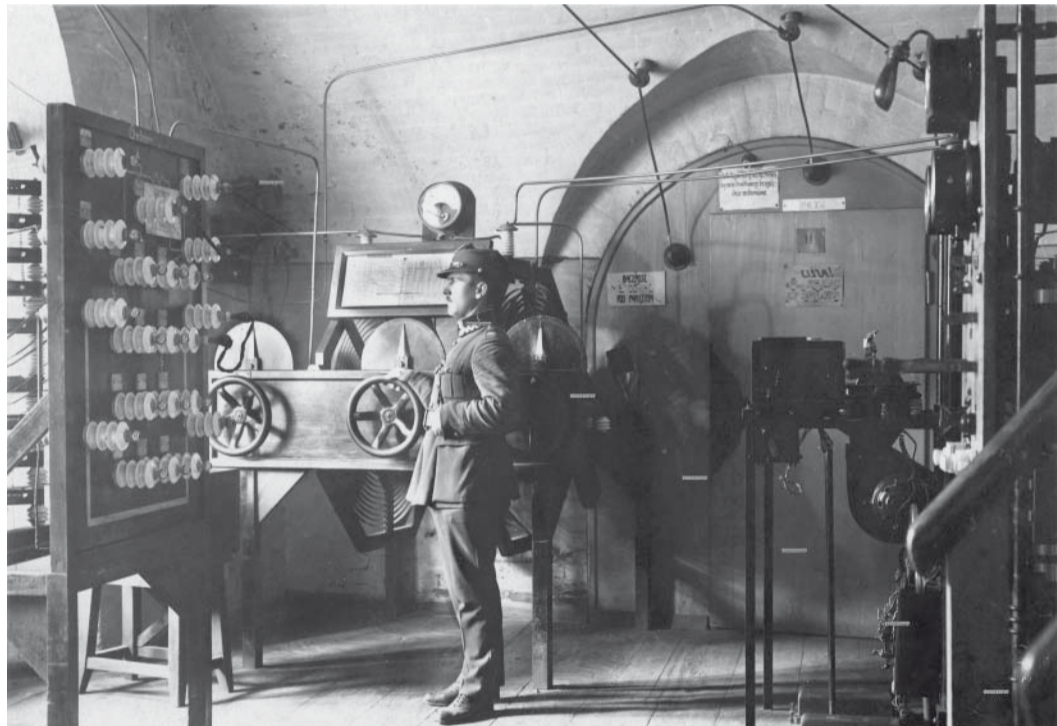
zaatakować je od strony wschodniej. Liczył na wsparcie ogniowe załogi pociągu pancernego „Hallerczyk”.

Wifani kwiatami

15 sierpnia o godz. 3 kawalerzyści wyruszyli z Szulierzysz do Ciechanowa. Natrafili na kolumny taborowe, o godz. 8 zaś brygada zebrała się w Niestuniu. Oddział ten utrzymywał ostrzał artyleryjski dróg z Ciechanowa w kierunku Mławy, Przasnysza i Pułtuska. Udało się mu zniszczyć połączenia telefoniczne i telegraficzne. Gdy okazało się, że oczekiwana piechota nie przybyła, w południe kawaleria dostała rozkaz ataku na miasto. Nieprzyjaciel zdołał się jednak wycofać. Ułanów witali zaś kwiatami mieszkańcy. Cały dobytek z przejętych taborów został wydany magistratowi, aby podzielić go wśród ludności.

Efekt ataku na Ciechanów zaskoczył nie tylko Rosjan, ale też polskich dowódców. Mjr Podhorski wspominał, że cała akcja trwała krótko: „Szybko rozwijam pułk i przez zaskoczenie wpadam do Ciechanowa, w koszarach następuje krótka walka, zostawiam tam jeden szwadron, a z trzema przechodzę przez miasto i zajmuję dworzec i cukrownię. W cukrowni napotykam słaby opór, trafiamy na sztab armii”.

Nieprzygotowani do walki Rosjanie trafiają do niewoli. Dowódca rosyjski Jewgienij Nikolajewicz Siegiejew uciekł do Ostrołęki, a jego sztabowcy do Mławy.



Szczególne spustoszenie w łączności Armii Czerwonej czyniła Centralna Stacja Radiotelegraficzna na Cytadeli Warszawskiej, nadająca zagłuszające komunikaty na granicy technicznych możliwości

Bolszewicy pozostawili sztab, w tym uszkodzoną radiostację, którą próbowali spalić wraz z szyframi i książkami kodowymi. Z informacji uzyskanych od jeńców rosyjskich Polacy dowiedzieli się, że większe oddziały ruszyły na Toruń i Płock oraz w kierunku Pomorza, a do Ciechanowa zbliżała się 35. Dywizja Piechoty. Następnego dnia ułani kaliscy powrócili na pozycje wyjściowe swojej brygady w rejonie Sarnowej Góry.

Ewangelia św. Jana

Druga działająca radiostacja 4. Armii była w tym czasie przewożona do Sierpca. Dotarła tam dopiero 17 sierpnia. Z powodu utraty sprzętu do łączności przez trzy dni decydujące o losie walk wokół Warszawy sześć rosyjskich dywizji nie wiedziało o kontrofensywie Polaków ani o rozkazie z 15 sierpnia głównodowodzącego Frontem Zachodnim Michała Tuchaczewskiego o zawróceniu na południowy wschód i uderzeniu na armię gen. Sikorskiego. Pierwsza rosyjska depecha wysłana z Sierpca informowała o utracie radiostacji w Ciechanowie. Polscy kryptolodzy z Biura Szyfrów dzięki złamaniu i rozszyfrowaniu kodów oraz kluczom do nich, zdobytym w Ciechanowie, przechwycili meldunek i doszli do wniosku, że 4. Armia nic nie wie o sytuacji pod Warszawą.

Wtedy zapadła decyzja o przestrojeniu polskiego nadajnika na częstotliwość radiową Tuchaczewskiego i zagłuszania przez 36 godzin bez przerwy nadajników

wroga poprzez wysyłanie tekstem ciągłym Ewangelii św. Jana. W ten sposób ani rosyjski dowódca, ani jego oddziały nie byli w stanie odebrać żadnej wiadomości i przekazać dalej rozkazów. Skutkiem był chaos w szeregach wroga i w konsekwencji rozbięcie 4. Armii. Atakowane przez polskie oddziały resztki dywizji w okolicach Kolna przekroczyły granicę Prus Wschodnich i zostały tam internowane.

Zguba zdawała się nieuchronna

Atak polskich ułanów na Ciechanów opisał Tuchaczewski. W swojej książce „Pochód za Wisłę” wspominał: „W tym czasie na styku Armii 4. i 15. ma miejsce wypadek, nieznaczny w założeniu, który jednak odegrał rozstrzygającą rolę w biegu naszego działania i dał początek jego katastrofalnemu wynikowi. Sztab połowy 4. Armii, który przeniósł się po ofensywie do miasta Ciechanowa, został niespodziewanie zaatakowany przez drobne oddziały przeciwnika, które przedarły się między armiami 4. i 15., skutkiem czego sztab musiał szybko się zwinąć i odjechać na zachód do swoich oddziałów. Przez to naruszona została łączność. Jak okazało się z dalszego biegu wypadków, ta okoliczność nie była prostym przypadkiem. (...) Zdawało się, że zguba armii przeciwnika jest nieuchronną, unicestwienie jej pociągnęłoby za sobą najdonioślejsze skutki w dalszym biegu wszystkich naszych działań. Jednakże Polakom dopisało szczęście”. ☺